

K.K.SMITHS

25

GRUDNIA



Copyright © 2024 by K.K. Smiths

Redakcja: Adrianna Hess
Korekta: Ida Świerkocka
Skład i łamanie: Robert Majcher
Projekt okładki i stron tytułowych: Krzysztof Rychter
Fotografia autorki: archiwum prywatne

Wydawczyni: Natalia Sikora
Redaktorka prowadząca: Anna Salwa
Koordynatorka produkcji: Anna Pawłowicz
Promotorki: Aleksandra Sękowska, Agnieszka Słowik

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-494-2

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: **opolgraf** 
DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze Creamy 80, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

*Dla wszystkich, którzy chcą,
by ich święta wyglądały zupełnie inaczej.*

*Oraz dla A –
dziękuję, że wciąż powtarzałaś mi,
że kiedy nie da się wejść drzwiami,
trzeba próbować oknem.*

SOUNDTRACK ICH ŚWIĄTECZNEJ HISTORII

Lonely | Noah Cyrus
Thunder | Imagine Dragons
Winter Wonderland | Tony Bennett, Lady Gaga
Sleigh Ride | Ella Fitzgerald
Oh, Pretty Woman | Roy Orbison
Talking to the Moon | Bruno Mars
True Colours | Tom Odell
Walking The Wire | Imagine Dragons
Fix You | Coldplay
Grown-Up Christmas List | Pentatonix, Kelly Clarkson
Demons | Imagine Dragons
I Want to Know What Love Is | Foreigner
What The World Needs Now Is Love | Jackie DeShannon
Next To Me | Imagine Dragons
Shake Up Christmas | Train
What the World Needs Now Is Love | Andra Day
Night Changes (Live Acoustic Session) | One Direction
Never Enough (Loren's Version) | Loren Allred
Mum | Luke Hemmings
Silent Night | Sinéad O'Connor
It's Ok | Imagine Dragons
Love Came on Christmas | Pentatonix, Grace Lokwa





25
GRUDNIA
2016
I dzień świąt

Siedząc na betonowym wzniesieniu jednego z londyńskich mostów, zastanawiam się, ile sekund dokładnie trwałby mój lot w dół, zanim zniknąłabym w rwącym nurcie Tamizy. Jednak zamiast przekonywać się o tym na własnej skórze, unoszę opakowaną w papier butelkę, smakując cierpkie czerwone wino.

Pojedyncze kosmyki moich włosów wirują w powietrzu. Czuję, jak mroźny, zimowy wiatr sprawia, że drętwieją mi policzki, kiedy spoglądam w stronę grafitowego nieba, wymachując niedbale stopami nad przepaścią i nasłuchując dźwięków otaczającego mnie miasta: mniejszego niż zazwyczaj ruchu samochodów oraz pogłosu świątecznych melodii dochodzących z pobliskiego kościoła.

Melodii, które wywołują u mnie jednocześnie odręzę oraz dreszcze i zakłopotanie – czyli emocje, których od lat próbuję się wyzbyc.

Wypuszczam ciężko powietrze i biorę kolejny łyk. Mimo wolnie marszczę nos, gdy wino pozostawia na moich wargach i języku kwaśny posmak.

Ohyda, ale działa.

Moją głowę zaczyna wypełniać cichy i spokojny szum, który zawdzięczam nadmiarowi spożywanego po raz pierwszy alkoholu. Wciąż jednak jest to dla mnie za mało. Za dzisiejszy cel postawiłam sobie doprowadzenie się do takiego samopoczucia, by nie być w stanie już nic więcej usłyszeć.

Podobno procenty idealnie w tym pomagają – a przynajmniej tak słyszałam.

– Na zdrowie, mamó. – Uśmiecham się ironicznie pod nosem, po czym prostując rękę w łokciu, wyciągam przed siebie butelkę. Ta wyslizguje się z mojej dłoni i znika w czerni wody z delikatnym pluskiem. – Trzy sekundy – mówię smutno do siebie.

Tylko trzy sekundy dzielą mnie od tego, abym sama ruszyła w jej ślady.

Zaciskam mocniej usta, chowając zmarznięte dłonie w kieszeniach kurtki. Daję sobie kilka minut na uspokojenie wewnętrznego żalu połączonego ze złością, jaka ponownie rozlewa się po wszystkich komórkach mojego ciała w dzień, na który czeka cały świat. Dzień, który każdego roku przeżywam na nowo i który najchętniej wymazałabym ze wszystkich kalendarzy, już istniejących i tych mających powstać w przyszłości.

– Hej – rozbrzmiewa męski głos gdzieś między świstem wiatru a szumem rwącego strumienia Tamizy, co w żaden sposób mnie nie dziwi.

Przez ostatnie lata wielu ludzi próbowało ratować mnie z sytuacji, której nie rozumieli. Podbiegali do mnie z krzykiem i telefonem w dłoni, gotowi wybrać numer alarmowy, i starali się mnie przekonać, że skok z wysokości nie jest odpowiednim rozwiązaniem moich problemów.

Tylko nie wiedzieli, że nie mam takiego zamiaru. Teraz, kiedy odwracam wolno twarz w stronę tego obcego mężczyzny, je-

stem zmuszona ponownie wyrecytować wyuczoną na pamięć regułkę. Powtarzam ją w każde święta Bożego Narodzenia. Zraz zacznę wymieniać pojedyncze zdania o tym, jak to nie mam zamiaru posuwać się do samobójstwa i proszę o odrobinę spokoju, lecz nim te słowa wypłyną z moich ust, zatrzymuję spojrzenie na nieznanym.

Młodym mężczyźnie, który wcale nie próbuje pochwycić mnie, nim wykonam decydujący krok. On nawet nie patrzy w moim kierunku. Zamiast tego najzwyczajniej w świecie opiera się przedramionami o barierkę, stojąc kilka centymetrów ode mnie i spoglądając w dół, na nurt rzeki.

– Z tej perspektywy Tamiza wygląda inaczej? – Odwraca twarz w moją stronę, wskazując brodą na miejsce, gdzie siedzę. Faktycznie nie należy ono do szczególnie bezpiecznych.

W idealnie skrojonym płaszczu, spod którego wystaje granatowy garnitur, wygląda tak, jakby właśnie wracał z wykwintnej kolacji albo biznesowego spotkania, co zdecydowanie nie pasuje do mojego towarzystwa.

– Można tak powiedzieć. – Wzruszam ramionami. Chciałabym ponownie wrócić spojrzeniem do otaczającej mnie czerni i melancholijnego nastroju, a jednak nie robię tego.

Niezajomy zdejmuje jedną ze skórzanych rękawiczek i wyciąga do mnie dłoń, która zatrzymuje się tuż przy moim ramieniu.

– Zapewniam cię, że stąd również wygląda zjawiskowo. – Posyła mi przyjazny uśmiech. Mimowolnie zaciskam mocniej wargi.

Ze zrezygnowaniem kładę dłoń na powierzchni jego ciepłej skóry. Przechodzi mnie dreszcz. Płynnym ruchem przenoszę stopy na drugą stronę barierki i zeskakując z niej, ląduję tuż obok niego.

– Są święta. To chyba nie najlepszy czas na śmierć.

Chcąc na niego spojrzeć, zadzieram brodę. Okazuje się, że jest znacznie wyższy, niż sądziłam, i na oko niewiele starszy ode mnie.

Do tego w jego oczach i twarzy jest coś, co nie pozwala mi tak łatwo oderwać od niego wzroku. Może dlatego, że w miejscu, w którym dorastałam, nie było takich chłopaków jak on. Zdecydowanie mógłby konkurować ze wszystkimi mężczyznami na plakatach w pokojach dziewczyn.

Dokładnie tak jak oni ma starannie przystrzyżone i zaczesane do góry włosy. To pozwala mi przyjrzeć się jego oczom, wciąż we mnie wpatrzonym. Nie jestem w stanie racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego mój wzrok zatrzymuje się na dłużej na jego ustach, które mimo otaczającego nas chłodu wciąż pozostają wyraziście malinowe, ale tak właśnie jest. Mają w sobie coś magnetycznego, choć nie powinny.

Nie dzisiaj, a już na pewno nie w tym momencie.

– A kiedy jest odpowiedni? – odpowiadam w końcu, unosząc brwi, na co wargi szatyna rozciągają się w przyjacielskim uśmiechu.

– Racja – przyznaje, a jego twarz owiewa mgła oddechu. – Wygrałaś.

Schylam delikatnie głowę w geście podziękowania.

– Ale skoro nie zdecydowałaś się na to dzisiaj, to może mógłbym odwieźć cię bezpiecznie do domu?

Dopiero teraz dostrzegam niski, sportowy samochód, który sprawia wrażenie cholernie drogiego. W chwili gdy na niego spoglądam, drzwi od strony pasażera nagle się otwierają i pojawia się w nich wysoka, szczupła dziewczyna w ciemnozielonej cekinowej sukience. Ona też wygląda jak żywo wyciągnięta z plakatu.

Stojąc tuż obok nich, w kolorowej czapce z dwoma pompkami, owinięta dziurawym szalikiem, którego świat pod żadnym pozorem nie powinien oglądać, oraz w zniszczonej pomarańczowej kurtce, którą w tamtym roku otrzymałam w spadku po Patricii, przypominam niepasujący element zaistniałej scenerii.

– Kochanie! Długo jeszcze?

Patrzę w jej stronę jak zahipnotyzowana. Jest taka idealna, ma dokładnie wszystko to, o czym ja mogę jedynie pomarzyć.

– Nudzę się i jest mi okropnie zimno. Nie wiem, jak włączyć ogrzewanie.

Czuję silne ukłucie w sercu, które zaczyna promieniować na większą część klatki piersiowej.

Nie znoszę tego uczucia.

Gdybym tylko lepiej trafiła. Gdyby wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, może to ja byłabym na jej miejscu. W eleganckiej sukience, z przystojnym mężczyzną u boku. A nie z przeświadczeniem, że jestem obcym, szarym człowiekiem pośród wszystkich innych – tych, przez których spojrzenia staję się coraz mniejsza.

Odwracam twarz w stronę mężczyzny, który wciąż patrzy na mnie, jakby czekał na odpowiedź.

Ale skoro nie zdecydowałaś się na to dzisiaj, to może mógłbym odwieźć cię bezpiecznie do domu?

– Hm. Nie. Dzięki – odpowiadam cierpkim głosem. Tym, przez który zaciska się moja krtka. W ramach podziękowania wyginam usta w wymuszony uśmiech i powoli ruszam do tyłu. – Przejdę się.

– Kochanie!

– Nie chcę być nachalny, ale naprawdę wołałbym zobaczyć, jak znikasz za drzwiami swojego domu, niż w jutrzejszych wiadomościach.

Dziwne jest to uczucie. Kiedy ktoś się o ciebie martwi.

– Nic mi nie będzie – zapewniam go bez przekonania.

Odwracam się, szczerzej otulając szalikiem twarz, i ruszam wydeptaną ścieżką przez skrót, aż pod przystrojone świątecznym wieńcem drewniane drzwi, które zamykam za sobą z delikatnym trzaskiem.

Nim jednak stawiam kolejny krok w korytarzu, gdzie panuje półmrok, dociera do mnie szorstki kobiecy głos:

– Znów tam byłeś?

Odbijam się dłońmi od drzwi wejściowych, by następnie przystanąć w progu gabinetu pani Gomez. Starsza kobieta unosi spojrzenie znad czytanej książki. Okulary zsuwają się jej na czubek nosa, a pomarszczona twarz jest dokładnie tą samą, która wita mnie każdego dnia, odkąd tutaj zamieszkałam.

– Tradycja.

– Tradycją jest świąteczna kolacja, a ciebie znów na niej nie było, Malia.

Nie ma w jej słowach złości, którą karała mnie przez liczne lata moich ucieczek. Najwidoczniej zdążyła się już do nich przyzwyczaić. Wiedziała zawsze, gdzie mnie znajdzie oraz kiedy wrócę.

– W następne święta już nie będzie pani musiała się tym przejmować. – Ściągam czapkę, zaciskając ją mocno w dłoni.

– Sama nie wierzę, że to mówię, ale właśnie to smuci mnie najbardziej, dziewczyno.

Uśmiecham się blade. Rozpaczynam wspinaczkę po starych stopniach, które skrzypią pod każdym moim krokiem, następnie spokojnie wędruję między pokojami domu dziecka, do własnego łóżka, chcąc zapomnieć o dwudziestym piątym grudnia po raz czternasty w ciągu całego swojego życia.



19
GRUDNIA
2023
6 dni do świąt

Stojąc na piętrze przeszklonego lobby, klaszczę w dłonie razem ze wszystkimi zgromadzonymi, gdy na niewielką scenę zaaranżowaną w świątecznym stylu wchodzi Timothy Roy – prezes zarządu Share The Joy.

Elegancki mężczyzna po pięćdziesiątce ze starannie zaczesanymi do góry posiwiałymi włosami mimo swoich lat wygląda, jakby miał ich trzydzieści pięć, a przynajmniej tak myślałam, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy.

– Dziękuję. – Uśmiecha się do zebranych. – Dziękuję. – Unosi lekko dłoń, na co milkną gromkie okłaski. – Święta to wyjątkowy czas dla całego świata. Każde państwo ma własne tradycje oraz rodzime przyzwyczajenia, lecz bez względu na kraj, z jakiego pochodzimy, naszą religię czy rasę, łączą nas dwa najważniejsze dla tego okresu słowa. „Nadzieja” – precyzuje, patrząc uważnie na swoich pracowników – i „miłość”. A dzięki naszej firmie do tego zestawu dołącza również „radość”.

Wszyscy, bez wyjątków, przysłuchują się przemówieniu.

– Dokładnie dzisiaj mija trzydzieści lat, odkąd razem z moim nieżyjącym już ojcem postanowiliśmy zarażać innych naszą

miłością do świątecznego klimatu. Na początku były to ręcznie wykonywane bombki i akcesoria świąteczne produkowane w niewielkich ilościach w starym garażu moich rodziców pod Londynem, a dziś jest to jedna z największych sieci produktów i usług świątecznych na świecie.

Ze skupieniem obserwuję zmiany na jego twarzy. To, z jaką pasją i wielkim szacunkiem opowiada o swojej drodze do sukcesu. Pracownicy wymieniają się promiennymi uśmiechami.

– Gdyby nie wy, nie udałoby mi się w tak krótkim czasie przejąć świątecznego rynku nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale również w całej Europie, Stanach czy Azji, rozbudować naszej sieci o nowe działy sprzedaży, aby dawać innym możliwość radowania się z jednego z najlepszych okresów w całym roku kalendarzowym. Jestem wam za to naprawdę wdzięczny. Wasze zdrowie!

Timothy unosi w naszą stronę kieliszek z bąbelkami, na co wszyscy zebrani, idąc za jego przykładem, smakują drogi szampan. Jego słodycz rozplywa się delikatnie w moich ustach.

– Zanim jednak przejdziemy do rocznych statystyk i podsumowania, chciałbym zaprosić na scenę kogoś wyjątkowego, kto sprawił, że tegoroczny zimowy czas stał się spełnieniem marzeń naszych klientów.

Unoszę do ust kieliszek, chcąc wypić zdrowie tej osoby...

– Zapraszam na scenę Malię Taylor.

...ale w porę się powstrzymuję, kiedy to właśnie moje imię rozbrzmiewa w głośnikach, odbijając się głośnym echem od ścian lobby jeszcze przez kilka sekund.

O nie.

– Młodsza dyrektor kreatywną... – kontynuuje prezes.

Moje serce nieubłaganie przyśpiesza, a ucisk w żołądku gwałtownie odbiera mi zdolność do prawidłowego oddychania, kiedy

za przykładem Timothy'ego każda para oczu zaczyna mnie obserwować. W zdenerwowaniu próbuję zacisnąć mocniej palce na nóżce kieliszka, kiedy stojąca obok Linda wyciąga go ostrożnie z mojej dłoni. Następnie popycha mnie lekko do przodu w stronę schodów prowadzących na dolne piętro.

– ...bez której pomysłów i czynnego zaangażowania nie osiągnęlibyśmy tak zadowalających wyników.

Słyszę pierwsze oklaski oraz widzę ciepłe uśmiechy ludzi, których mijam. Nie jestem w stanie na nich spojrzeć, a co dopiero zareagować inaczej, niż posyłając im niewielki grymas.

W swoim życiu potrafiłam znieść wszystko. Naprawdę wszystko. Szeroko pojętą krytykę, odrzucenie, a nawet zażenowanie. Jednak kiedy tylko zaczynałam być w centrum uwagi większej grupy osób, z których każda śledziła oczami moje ruchy, czekając na najmniejsze potknięcie – panikowałam.

Na drżących nogach wchodzę po stopniach na scenę, gdzie od razu witają mnie Timothy oraz jego żona Karen, która przybierając pogodny wyraz twarzy, przekazuje na moje dłonie bukiety świeżo ciętych róż.

Dziękuję im wymuszonym uśmiechem, z nadzieją, że nie wygląda on zbyt sztucznie, i odwracając się w stronę wskazywanego przez prezesa mikrofonu, czuję, jak dopada mnie niepokój. Mimo to próbuję sama siebie okłamać: *Dam radę. Jestem w stanie to zrobić.*

W lobby nastaje głucha cisza.

– Witam wszystkich. – Krzywię się odruchowo, oddalając się delikatnie od mikrofonu, gdy jego ostry pisk odbija się od ścian przestrzeni wokół nas. – Przepraszam – dodaję cicho, na co stojący na schodach Simon, kolega z mojego działu, krzyczy głośno, klaszcząc w dłonie, w ramach próby podniesienia mnie na duchu. Za jego przykładem ruszają inni. Zaciskam

usta z wdzięcznością. – Chciałabym na wstępie podziękować za tak miłe słowa, panie prezesie. – Schylam głowę w stronę mężczyzny, który odpowiada mi szerokim uśmiechem. – Ale tak naprawdę każdy z was na nie zasługuje. Każda będąca tutaj osoba wniosła do tegorocznej kampanii swoje doświadczenia, pomysły i pracę, które zaowocowały tym, czego od nas oczekiwano, czyli wysoką jakością oraz pewnym miejscem na rynku sprzedaży. I to również wam należą się gromkie brawa. – Klaszczę, z niewielkim trudem przez trzymany w dłoniach bukiet, co od razu naśladuje reszta zebranych. – Dziękuję bardzo i... – czuję niezwykłą suchość w gardle – życzę wszystkim – moja krtań niebezpiecznie się zwęża – wesołych świąt – przez co ostatnie słowa wypowiadam prawie szeptem.

– Wesołych świąt! – krzyczy radośnie całe lobby, kiedy odwracam się tyłem do mikrofonu, pozbywając się ciasno trzymanego w płucach powietrza i starając się ograniczyć ryzyko omdlenia, wywołane przez krążący wciąż w moim ciele stres.



Ostrożnie wkładam bukiet do przygotowanego na biurku wazonu, po czym zajmuję miejsce w fotelu, zbliżając się do laptopa, na którym już od kilku dni pracuję nad nowym projektem. Mam zamiar przedstawić go zarządowi tuż po przerwie świątecznej. Widzę w nim potencjał, dzięki któremu firma przebije w nadchodzącym roku tegoroczne statystyki.

Przeglądam skrupulatnie strategię i wprowadzam do niej minimalne zmiany. Zawieszając dłonie nad klawiaturą, po raz trzeci dzisiejszego dnia spoglądam odruchowo na wyświetlacz leżącego obok mnie telefonu, gdzie na ekranie pojawia się zdjęcie siostry.

Nie zastanawiając się nawet przez chwilę, odrzucam połączenie i odwracam komórkę wyświetlaczem do biurka. Oddzwonię później.

– Malia?

Tym razem przenoszę spojrzenie w stronę szklanych drzwi, gdzie tuż za cichym pukaniem rozbrzmiewa męski głos. W progu mojego małego gabinetu staje Timothy.

– Co ty jeszcze robisz przed laptopem?

Otwierając usta, próbuję na szybko wymyślić brzmiące prawdziwie kłamstwo, ale zamiast tego posyłam szefowi jedynie przepaszający uśmiech. Dostrzegam na jego twarzy dobrze mi znany wyraz. Ten, którym przekazuje mi, że nieważne, co bym powiedziała, i tak nie wygram w tej rozgrywce.

Nie znamy się przecież od wczoraj.

– Właśnie pracuję nad... – próbuję się wytłumaczyć, ale przerywam swoją wypowiedź w momencie, kiedy dłoń Timothy'ego bez ostrzeżenia dotyka pokrywy laptopa i ją zamyka. Wypuszczam z rezygnacją powietrze.

To nie tak, że nie miałam odwagi się z nim kłócić ze względu na charakter jego stanowiska. Po prostu wiedziałam doskonale, jak przekonującym potrafi być negocjatorem i mówcą. Nawet gdybym skłamała, i tak w ciągu pięciu sekund to moja osoba znalazłaby się na przegranej pozycji.

– Całe biuro dopięło tegoroczne projekty na ostatni guzik i zaczyna dzisiaj przerwę świąteczną. – Patrzy na mnie poważnym spojrzeniem. – Ty również, Malia – zaznacza wyraźnie, a wyraz jego twarzy nie pozostawia mi żadnego pola manewru.

Przegrałam, nawet nie podniósłszy rzuconej mi rękawicy.

– I nie chcę słyszeć o tym, że w czasie zasłużonego wolnego siedzisz przy laptopie, w służbowym telefonie, sprawdzasz maile albo pracujesz nad nowymi projektami.

– Właśnie wpadł mi do głowy jeden naprawdę dobry pomysł. Już wiem, w jakim kierunku powinniśmy iść i jakie działania podjąć. Dlatego chciałam je zapisać i... – Biorę szybki oddech tuż po wyrzuceniu z siebie wszystkich tych słów.

Timothy nie pozwala mi jednak mówić dalej:

– Malia. Jestem przekonany, że w ciągu dwóch tygodni te pomysły nie uciekną z twojej głowy, a wręcz będą jeszcze bardziej dopracowane, kiedy dasz sobie trochę wolnego i oczyścisz umysł. – Unosi jedną z brwi, jakby czekał na potwierdzenie z mojej strony. Niechętnie przytakuję głową. – A teraz bez żadnych wymówek zrób to, co reszta działu, czyli wróć do domu i zacznij się cieszyć tegorocznymi świętami.

Mam szczerą ochotę przewrócić oczami na słowo „święta”, lecz się powstrzymuję.

– A co najważniejsze: odpocznij. Cały rok pracowałaś na najwyższych obrotach, i naprawdę to doceniam, ale teraz przyszedł czas, aby odrobinę zwolnić.

– Co robisz? – pytam niepewnie, podnosząc się z zajmowanego miejsca, kiedy Timothy sięga po mój laptopa.

– Chcę mieć pewność, że nie będziesz pracować na urlopie.

Kręcę odruchowo głową, przyciskając otwartą dłoń do urządzenia, jakby było moją ostatnią deską ratunku.

– Doskonale wiem, co zamierzasz zrobić, Malia. Na samym początku, kiedy byłaś tutaj jeszcze na stażu, nazywałem to determinacją i ambicją, ale teraz chciałbym, żebyś chociaż odrobinę odpuściła.

Moje ramiona opadają coraz niżej z każdym jego słowem.

– Daj sobie czas na szukanie inspiracji na zewnątrz, zamiast chować się za ekranem laptopa.

– Obiecuję, że codziennie siądę do niego na maksymalnie dwie godziny. – Podejmuję próbę niewielkich negocjacji, uś-

miechając się przy tym delikatnie do prezesa, który w końcu wycofuje dłoń.

Timothy wzdycha.

– Niech ci będzie, ale ani minuty dłużej. Po urlopie poproszę, żeby informatycy sprawdzili twoje ruchy w systemie.

Zgadzam się, choć niezbyt satysfakcjonuje mnie ta informacja.

– Malia, odpocznij – mówi dokładnie takim samym głosem, jakby przekazywał mi ważne dane dotyczące projektów, których deadline nieubłaganie się zbliża. Chwytając za klamkę, dodaje jeszcze pogodnie: – Wesołych świąt. – I znika za drzwiami dokładnie w tym samym momencie, kiedy na dźwięk tych słów czuję, jak nieprzyjemny dreszcz wstrząsa gwałtownie moim ciałem.

Z powrotem opadam na fotel, zwracając spojrzenie w stronę wysokiego okna, za którym maluje się widok zaśnieżonego Londynu. Czuję kompletne zagubienie. Nie chciałam przerywać pracy. Dawała mi ona cel i sprawiała, że nie rozmyślałam w tym zimowym czasie o rzeczach, których wolę nie analizować od nowa. Umożliwiała mi ucieczkę od problemów, a rosnący powoli w mojej piersi niepokój zaczynał mi o tym skutecznie przypominać.

Na biurku ponownie zaczyna wibrować telefon, który ignorowałam od tygodni. Niechętnie jednak to właśnie dzisiaj sięgam po niego i podejmuję próbę rozmowy, która była nieunikniona.

– Tak?

– Dzień dobry. Mogłabym poprosić do telefonu... Malia? – Zdziwiony głos Courtney rozbrzmiewa w towarzystwie gwaru rozmów i nastrojowej melodii. – To naprawdę ty? Dzięki Bogu! Już myślałam, że dziwnym trafem w tym roku znów

ukradli ci telefon. I to na dodatek, pechowo, akurat przed świętami.

Uśmiecham się pod nosem, przewracając oczami.

– Jak długo masz zamiar wypominać mi tamto kłamstwo? – pytam, wstając od biurka.

Po drugiej stronie słuchawki słyszę cichy śmiech siostry, która pewnie dokładnie tak samo jak ja odtwarza ze wszystkimi szczegółami naszą zeszłoroczną rozmowę. Courtney próbowała wówczas nakłonić mnie do pojawienia się na świątecznej kolacji, a ja starałam się wcisnąć jej dosyć wiarygodne kłamstwo: że ukradli mi torebkę w metrze i zamiast z jej rodziną jestem zmuszona siedzieć na komisariacie policji, składając szczegółowe zeznania na temat zaistniałej sytuacji.

Oczywiście, że prawda była zupełnie inna, i Courtney doskonale o tym wiedziała.

Ponad wszystko pragnęłam spokoju i ciszy własnych czterech ścian, w których chciałam przespać nadchodzące dni Bożego Narodzenia – wyłącznie w swoim towarzystwie.

Bez ludzi. Bez świątecznych piosenek. Bez jedzenia, od którego widoku mnie mdli. I bez obchodzenia dnia, na którego pojawienie się w kalendarzu wszyscy dostają napadu radości i szczęścia, kiedy mnie pochłania mrok wspomnień.

– Dokładnie tyle razy, ile jeszcze będzie to konieczne. Dobra, korzystając z okazji, że już odebrałaś, co pewnie jest sprawką jakiejś nadprzyrodzonej mocy albo efektem zasłużonego urlopu – czasami przeraża mnie to, jak siostra mnie zna – włóż szybko płaszcz i zejdź. Zaraz będę pod Share The Joy i proszę, nie pozwól, żebyśmy razem z twoją jeszcze nienarodzoną siostrzenicą zamarzyły tu na śmierć. Wiedziałaś, że dzisiaj jest najzimniejszy dzień w Anglii od lat?



Wkładam obolałe od panującego mrozu dłonie w obszerne kieszenie płaszcza, kiedy idę posłusznie między zebranymi tłumnie osobami przez świąteczny jarmark, tuż za promienną Courtney, której w żadnym stopniu nie przeszkadza panujący ścisk, mdlący zapach cynamonu czy głośność kiczowatych piosenek o wirujących wokół płatkach śniegu.

Courtney uwielbia każdy z tych elementów, w odróżnieniu ode mnie, którą ich nadmiar przyprawia o migrenę.

Do tej całej otoczki zalicza się jeszcze wszechobecny entuzjazm zarówno klientów, jak i sprzedawców, którzy ze sztucznymi uśmiechami i pogodą ducha, przesadnie gestykulując, przypominają wszystkim o nadchodzących świątach.

Wśród tego zamieszania czuję się jak w jakiegoś rodzaju pułapce o zagrożeniu trzeciego stopnia. Kiedy ja staram się walczyć z otaczającymi mnie ludźmi o najmniejszy skrawek przestrzeni osobistej, idąca tuż przede mną szatynka nawet z ciężowym brzuszkiem potrafi precyzyjnie się obok każdego pojedynczego człowieka niczym zakupowy zawodowiec.

– O! Te są śliczne! Idealnie pasowałyby nad nasz kominek, prawda? – Courtney odwraca się z szerokim uśmiechem, unosząc parę ręcznie dzierganych, czerwonych skarpet, jednak kiedy dostrzega moją reakcję: kompletny brak zainteresowania, odkłada je na miejsce, przepraszając uprzejmie sprzedawczynię.

– To tylko święta, Malia. – Chwytając mnie ciasno pod ramię, rusza dalej między drewnianymi domkami, gdzie reklamują kolejne świąteczne rzeczy.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ponieważ ci wszyscy ludzie wyglądają i zachowują się, jakby urwali się z choinki.

– Kątem oka dostrzegam, jak opuchnięte policzki dziewczyny rozszerzają się w uśmiechu.

– Czyli pozostajesz przy swoim? – Patrzy w moją stronę, kiedy ja staram się udawać, że jednak coś na jarmarku przykuło moją uwagę. – Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. – Szturcha mnie lekko ramieniem. – Specjalnie ode mnie nie odbierałaś. W normalne dni trudno się z tobą rozłączyć przez to, ile historii masz mi do opowiedzenia, ale kiedy tylko w kalendarzu zaczyna się grudzień, nagle zapominasz o czymś takim jak telefon.

Powstrzymuję się wszystkimi siłami, aby jednocześnie nie wypuścić ciężko powietrza, nie przewrócić oczami i nie wyśmiać jej słów.

– Naprawdę chcesz znów postawić na opakowanie lodów, mrożone lasagne, wino i oglądanie po raz tysięczny *Pretty Woman*?

– Nie oceniam mnie ani mojej obsesji na punkcie Richarda Gere’a. A poza tym to tradycja.

– Nie. Tradycją jest spędzanie czasu z rodziną, wspólne śpiewanie świątecznych piosenek i objadanie się do granic możliwości. – Rusza w stronę jednego z domków, gdzie starsza kobieta sprzedaje robione na szydełku buty dla dzieci.

– To twoje tradycje, Courtney.

– Ale byłyby nasze, gdybyś tylko dała nam szansę.

A mogłam tego wszystkiego uniknąć, po prostu udając, że po raz kolejny ukradli mi telefon.

– Malia, przecież doskonale wiesz, że nie bez powodu nazywamy siebie siostrami, a moi rodzice nazywają cię swoją córką. Do tego czasami traktują cię nawet lepiej ode mnie. Poza tym – zaciska ponownie dłoń tuż pod moim łokciem – wciąż o ciebie pytają. Przez twoją wymagającą pracę nie widzieli cię już kilka miesięcy.

Milczę. Bo niby co miałabym powiedzieć?

– Dlatego nie chcesz przyjść? Bo w dzieciństwie nie byli w stanie zaopiekować się tobą w taki sposób, jak byś chciała?

– Słucham? – Zatrzymuję się, zerkając na siostrę. – Nie. Oczywiście, że nie. Doskonale wiesz, że twoi rodzice zrobili dla mnie naprawdę dużo i jestem im za to niezwykle wdzięczna.

– Więc o co chodzi? – Courtney nie daje za wygraną, patrząc na mnie w taki sposób, że czuję się przyparta do muru. A kiedy tak się dzieje, do głowy natychmiast przychodzą mi najgorsze wymówki.

– Wyjeżdżam.

– Wyjeżdżasz? – Jej oczy wypełnia zawód, kiedy zaczyna mierzyć się z kolejnym moim kłamstwem. – W święta? Dokąd?

– Do Grecji – kłamię. – Ze znajomymi z pracy, którzy tak jak ja nie mają z kim spędzić świąt. – Podwójne kłamstwo. Coś czuję, że w tym roku Mikołaj nie będzie ze mnie zadowolony.

– Malia, ale ty masz rodzinę! Masz mnie, Damiano, naszą małą dziewczynkę – Courtney dotyka delikatnie ukrytego pod grubym płaszczem brzucha – i rodziców. Naszych rodziców. – Ostatnie dwa słowa wyraźnie akcentuje. – Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak ciężki jest dla ciebie ten grudniowy okres, ale...

– Proszę. Nie mówmy o tym, a już na pewno nie tutaj – szepczę pokonana, uwalniając się z jej uścisku, który nagle zaczyna odbierać mi tlen.

– Malia, próbuję tylko powiedzieć, że nie jesteś sama. Masz obok siebie ludzi, którzy naprawdę chcą spędzić z tobą święta, i wcale nie musisz wyjeżdżać.

Mimowolnie zaciskam usta w wąską linię i uciekam gdzieś wzrokiem, kiedy panująca między nami cisza staje się zbyt niewygodna.

– To właśnie twój sposób na przekazanie mi odmowy, prawda?
– Przyjdę w sylwestra. – Wymuszam uśmiech, który jak sądzę, byłby w stanie przekonać siostrę do odpuszczenia tematu, na co ta kiwa powoli głową.

Akceptuje moją decyzję, choć wiem i widzę, że w głębi serca co roku nosi w sobie żal do mnie, że zamiast rodzinnego ciepła, które wraz ze swoimi rodzicami chce mi podarować na święta, ja wybieram samotność i własne towarzystwo.

Rodzina Cooperów była jedną z niewielu rzeczy, które bezinteresownie dostałam od życia i z których szczerze się cieszyłam.

To właśnie oni pomogli mi, kiedy stawiałam pierwsze kroki w dorosłość po opuszczeniu domu dziecka. Spędziłam tam czternaście lat, nieustannie wracając do niego po kolejnych nieudanych próbach adopcji.

Dla jednych byłam zbyt cicha i zamknięta w sobie, a dla drugich za szybko okazywałam się zbędnym balastem, gdyż inaczej wyobrażali sobie rodzicielstwo.

Sama też nigdy nie zabiegałam o to, aby wpasować się w nową rodzinę.

Nie starałam się, by za wszelką cenę mnie pokochali, jak robiły to inne dzieci. Nie. Ja w odróżnieniu od nich wołałam zostać w tym szarym budynku, który poniekąd nazywałam domem. Był moją bezpieczną przystanią.

W rodzinach zastępczych nigdy nie zostawałam dłużej niż miesiąc.

Zwracali mnie, jakbym była niepasującym albo wadliwym towarem – w formularzu zwrotnym, w rubryce „Powód”, wpisywali, że zamiast dziecka pełnego radości, które widzieli w każdym filmie o adopcjach, dostali wycofane i milczące – a przecież takiego nikt nie chce.

Liczni terapeuci, u których spędzałam więcej czasu niż moi rówieśnicy, próbowali mówić o cofniętym rozwoju albo o drastycznych śladach, jakie pozostawiła we mnie przeszłość, wpływając niekorzystnie na moją psychikę. Według lekarzy to właśnie dlatego tak trudno przychodziło mi dostosowywanie się do towarzystwa, zarówno innych dzieci, jak i nowej rodziny.

I kiedy na wszelkie sposoby próbowali opisać moje dolegliwości, patrząc na nie z psychologicznego punktu widzenia, ja wiedziałam, że po prostu nie lubię tłumów obcych mi ludzi i rzadko kiedy dopuszczam kogokolwiek do sfery prywatnej.

Raz już przekonałam się, czym jest odrzucenie. Nie miałam zamiaru ponownie przez to przechodzić.

Z Courtney poznałam się przy okazji jednego z patrolów jej taty, policjanta, ale szczególną więź między sobą odkryłyśmy dopiero w szkole, do której razem uczęszczałyśmy.

To właśnie Courtney w naszym duecie zawsze była tą szeroko uśmiechniętą i głośną dziewczynką, do której inni lecili jak ćmy do ognia. Ja z kolei wolałam trzymać się na dystans, będąc cichą i samotną koleżanką, której imię jest wszystkim znane, ale nic poza tym.

Do końca nie jesteśmy w stanie ustalić, w jaki sposób ani kiedy pokochałyśmy się siostrzaną miłością, której nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Było to jedno z niewielu uczuć, na jakie w ciągu całego swojego życia sobie pozwoliłam.

Niedługo po tym, gdy stałyśmy się nierozłączne, Cooperowie kilkakrotnie składali wniosek o moją adopcję, który za każdym razem był odrzucany z przyczyn, o jakie do dzisiaj nie miałam odwagi zapytać. Nie byłam ich córką. Nie musieli nic dla mnie robić, a mimo to zawsze udawało się im zabierać mnie do siebie na weekendy, krótkie wakacje czy wycieczki.

Nigdy na święta.

Nie dlatego, że nie chcieli tego robić. Sama podejmowałam taką decyzję.

Nie byłam osobą, która umie cieszyć się z tego magicznego dla innych czasu. Kiedy spadał pierwszy śnieg, stawałam się oziębła i bierna. Zupełnie inna niż w pozostałe dni roku.

Grudzień był czasem dla mnie i mojej przeszłości, którą nie chciałam psuć innym nastroju.

Obejmuję czerwonymi od zimna dłońmi ciepły papierowy kubek z aromatycznie pachnącym winem, mając nadzieję, że pozwoli mi przetrwać otaczający mnie świąteczny cyrk. Spoglądam na wyświetlacz telefonu w poszukiwaniu nowych powiadomień lub maili, lecz szybko blokuję ekran, wkładając komórkę z powrotem do torebki. Timothy chyba miał rację: powinnam odrobinę odpuścić. Ale gdyby zależało to tylko ode mnie, to jednak wolałabym zrobić to w jakimkolwiek innym momencie niż teraz.

– Wygląda pani, jakby szukała właśnie idealnej choinki.

Niechętnie podnoszę wzrok na mężczyznę w zimowym płaszczu i z czerwonym nosem. Wygląda tak, jakby policzki zamarzły mu w szerokim uśmiechu.

– Nie. Na szczęście tak nie jest. – Odwracam się i upijając łyk wina, poszukuję wzrokiem Courtney.

– W takim razie może zaproponuję ozdoby? Mam najlepsze na całym jarmarku. – Mężczyzna ponownie zachodzi mi drogę, wskazując na własne stoisko. – Czego pani potrzebuje? Świątełek? Łańcuchów? Bombek? O! Te zdecydowanie przypadły do gustu moim klientom.

Zaciskam mocniej szczękę, próbując zapanować nad słowami, które cisną mi się na usta.

– Proszę popatrzeć. Można dotknąć. Cudowne, prawda?

– Proszę nie zwracać uwagi na te przestarzałe produkty – włącza się nagle do dyskusji starsza kobieta ze stoiska obok. –

W tym roku ma tak niski obrót, że próbuje na siłę wciskać naiwnym zakupowiczom tanie ozdoby, które w ogóle nie idą z duchem czasu. Ja za to pokażę pani dekoracje, które zdecydowanie odmienią każde wnętrze. – Sprzedawczyni chwytam mnie za łokieć, ciągnąc w stronę drewnianego domku.

Uczucie gorąca uderza w moje ciało, sygnalizując, że powoli zbliżam się do granicy emocjonalnej wytrzymałości.

– Dziękuję, ale proszę się nie trudzić, i tak niczego nie szukam – recytuję z nerwową uprzejmością.

– Proszę popatrzeć, czy nie są cudowne? – Zanim kończę ostatnie słowo, unosi ozdobne pudełko tuż pod mój nos, pokazując mi kolekcję purpurowych bombek.

– Niech pani nie da się nabrać na słabe chwyt marketingowe tej starej baby. Stoi tutaj od tygodnia i udało jej się sprzedać zaledwie kilka rzeczy ze swojego stoiska – wtrąca się ten sam mężczyzna. – Ja mam coś, co będzie idealnie do pani pasować. Robione na szydełku ozdoby na choinkę.

– Nie, dziękuję – mówię przez zaciśnięte zęby, próbując iść dalej.

– A może lampki? – rzuca kobieta.

– Choinka? – ponawia mężczyzna.

– O z d o b y ś w i ą t e c z n e! – słyszę gdzieś z daleka.

Nagle, ta mała, nic nieznacząca rysa na moim umyśle pogłębia się, a następnie pęka. Krążące wokół, niczym nieposkromione tornado, głosy zebranych handlarzy, napierając na moje skronie, zwiastują nadchodzący chaos. Duszę się.

Agresywne i natarczywe spojrzenia oraz przytłaczająca obecność obcych, nawiedzonych świątecznym duchem ludzi, odbiera mi świadomy oddech.

Wpadam w panikę, a przestrzeń wokół mnie zaczyna się rozmazywać.

– Dosyć – szepczę, zamykając powieki. Chcę uciszyć to wszystko, co zaczyna odbierać mi jasność myśli. Pragnę uciec. Zapomnieć. Znaleźć bezpieczne miejsce, gdzie ponownie wezmę swobodny oddech. – Proszę, nie... – Dociera do mnie silny zapach cynamonu, brzdęk szkła, śmiech, gwałtowny okrzyk radości. – Dosyć. Dosyć! – Krzyczę, odsuwając się o kilka gwałtownych kroków. – Nic tutaj nie kupię, bo nienawidzę świąt – mówię zbyt ostro, na co kilka przechodzących obok nas osób odwraca się zaszokowanych. – Więc nie potrzebuję niczego, co jest z nimi związane, a to, co państwo próbują na siłę wcisnąć swoim klientom, jest... – Urywam nagle, kiedy kątem oka dostrzegam, jak stojący na stoisku obok mężczyzna płacący za zakupy z trudem próbuje ukryć rozbawienie. – Przepraszam, czy to pana śmieszy? – zagaduję do niego, krzyżując ręce na piersiach, na co wysoki szatyn ubrany w elegancki płaszcz odwraca się do mnie, unosząc dłonie w przepraszającym geście.

– Nie. To znaczy to nie miało tak wyglądać i...

– Najmocniej państwa przepraszam. – Courtney łapie mnie za ramię, stając w mojej obronie, a raczej w obronie sprzedających, którym posyła radosny uśmiech. – Moja siostra jest dzisiaj... trochę zdenerwowana. Tłumy mają na nią zły wpływ – próbuje wytłumaczyć mój wybuch, po czym zaczyna ciągnąć mnie w stronę końca jarmarkowej ścieżki. – Co powiesz na uspokajającą zimową herbatę?

– Tak. Zdecydowanie potrzebuję melisy. I to w dużych ilościach.



Kilka minut później zatrzymujemy się przed jedną z restauracji w pobliżu jarmarku, z zewnątrz stylizowaną na styl staroangielski,

lecz nie to mi w niej najbardziej przeszkadza. Problem tutaj stanowią bogate zdobienia świąteczne, które widzę już z daleka przez wychodzące na ulicę okna.

Mam ochotę zacząć marudzić, żebyśmy jednak poszukały innego miejsca na wspólny lunch, ale zanim przechodzę do działania, Courtney znika za przystrojonymi świecidełkami drzwiami, które są jedynie namiastką tego, co – jak podejrzewam – spotkam w środku lokalu. I byłabym niezwykle naiwna, gdybym w to nie wierzyła.

Sala restauracyjna została urządzona z dobrym gustem w wiktoriańskim stylu – i nawet by mi się to podobało, gdyby nie fakt, że od świątecznych ozdób, girland, świecidełek oraz dwumetrowej kolorowej choinki można dostać oczopląsu.

W takich momentach naprawdę najwyczejniejszą opcją.

Zmęczona wypuszczam powietrze, zajmując wolne miejsce naprzeciwko Courtney.

– Dobrze. Opowiedz mi w takim razie coś więcej o tej Grecji. Tak jest, mili państwo. Zaczynamy przedstawienie.

– Wylatuję jutro z samego rana z Heathrow, a wrócę dokładnie w sylwestra. Lecimy niewielką grupą znajomych z mojego działu w firmie. – Splatam palce u rąk, opierając się nimi o drewniany stół, który swoją drogą również opływa w choinki, ozdoby i wszystko, co powoduje u mnie niesmak.

– Skoro lecisz z nimi, to czy w tej grupie jest jakiś specjalny znajomy? – Spogląda w moją stronę z uprzejmym uśmiechem i podniesionymi brwiami.

– Tylko znajomi. – Ucinam rozmowę, podnosząc menu. Szukam zarówno czegoś na rozgrzanie, jak i czegoś do jedzenia, bo mój żołądek nagle zaczyna domagać się prawdziwego posiłku, który byłby czymś więcej niż kawą.

– Dzień dobry. Czy mógłbym przyjąć zamówienie?

– Oczywiście – odpowiada uprzejmie Courtney. – Poproszę zimową herbatę imbirową i tagliatelle ze szpinakiem.

– Dobry wybór.

Przewracam oczami na dźwięk niezwykle uprzejmości w głosie kelnera.

– A dla pani?

– Dla mnie również herbata i... – Zatrzymuję się nagle, dostrzegając niezrozumiałą nazwę w karcie. – Czym dokładnie jest... – Wskazuję palcem na tę pozycję, odwracając głowę w stronę stojącego obok naszego stolika kelnera, kiedy okazuje się, że jest nim... mężczyzna, którego jeszcze chwilę temu widziałam wśród zamieszania na kiermaszu.

Nagle przechodzi mi ochota zarówno na jedzenie, jak i na spędzanie kolejnych minut w tym miejscu.

Nie ma już na sobie szarego płaszcza, tylko ciemnozieloną koszulę w świąteczne wzory, w której wygląda niezwykle idiotycznie. Ludzie, którzy oszaleli na punkcie świąt, naprawdę zapominają o czymś takim jak wycucie stylu.

– Tak? – dopytuje, przywołując na twarz uśmiech, kiedy z moich ust wciąż nie pada pytanie na temat jednego z dań.

Mam nadzieję, że to praca z ludźmi sprawia mu taką radość, a nie fakt, że wciąż ma przed oczami tamto zdarzenie.

– Poproszę to samo danie co siostra. – Zamykam kartę, odkładając ją na bok.

– Dobrze. Wróć za kilka minut.

Doskonale widzę, jak Courtney dziękuje mi uśmiechem, po czym przenosi swój skupiony wzrok na mnie.

– Wracając do naszej rozmowy... – Rozkładałam serwetkę na udach. – Nie sądzisz, że minęło już wystarczająco dużo czasu, odkąd rozstałaś się z Benem?

Posyłam siostrze ostrzegawcze spojrzenie.

– Może czas ruszyć dalej? Ponownie zacząć umawiać się na randki. Malia, jesteś piękna i młoda, aż żal tego nie wykorzystać.

– Tylko że ja nie chcę tego wykorzystywać – mówię, zerkając za okno obok nas. – Poza tym wcale nie zatrzymałam się w miejscu. Mam pracę, która wciąż pozwala mi się rozwijać, a jeśli chodzi o związki, to... – Zaciskam usta. – Nie mam siły ponownie się rozczarowywać.

Razem z Benem nie byliśmy gotowi na związek. On oczekiwał szybko rozwijającej się relacji, która w krótkim czasie dałaby mu żonę i dzieci, ja z kolei pragnęłam na początek jedynie bliskości drugiej osoby. Trudno było mi się przyzwyczaić do stałej obecności mężczyzny, dzielić z nim prywatną przestrzeń, a co dopiero mówić o szybkim zaangażowaniu – co nie oznaczało jednak, że w jakimś stopniu mi na nim nie zależało.

Był inteligentnym, młodym architektem, który swoim poczuciem humoru oraz podejściem do życia umiał sprawić, że zapomniałam o każdym ciężkim dniu w pracy, jednak po kilku miesiącach w jego towarzystwie zaczęłam ponownie czuć się, jakbym była w potrzasku.

Traciłam swoją strefę komfortu, o jaką całe życie walczyłam, a kiedy po raz kolejny rozmowa na ten temat przerodziła się w kłótnię, uznał, że nie potrzebuje dziewczyny, która stale będzie go od siebie odsuwać – bo kiedy on robił jeden krok do przodu, ja robiłam trzy w tył.

Spakował swoje rzeczy i zostawił mnie, trzaskając drzwiami. Nie rozumiał, że to właśnie był mój sposób na przekonanie się, czy aby na pewno jest osobą, do której mogłabym się przywiązać, unikając odrzucenia, po którym trudno byłoby mi się znów podnieść.

– W sumie może to i dobrze. – Courtney wrywa mnie z zamyslenia. – Przynajmniej będziesz mogła pozwolić sobie na przelotny romans z przystojnym Grekiem.

Tak. To mogłoby się udać, jeśli tylko zechciałby wyjść z telewizora, sprzed którego nie mam zamiaru ruszać się aż do sylwestra.

– Okej. – Moja siostra odchyła się na oparcie fotela, sięgając dłonią do bawełnianej torebki. – Ale się nie złość.

Dlaczego kiedy ludzie zaczynają zdanie od tych słów, nagle zaczynasz myśleć o wszystkich rzeczach, które mogłyby cię zdenerwować?

– Mam coś dla ciebie.

Ostatnie resztki dobrej energii uciekają z mojego ciała.

– Nie. Courtney, doskonale wiesz, że ja nie...

– Że nie lubisz dostawać prezentów? Wiem o tym. Nawet aż za bardzo. – W jej dłoniach zaczyna się mienić holograficzne pudełko, przez co mój żołądek zaciska się do granic możliwości.

Nie lubiałam znajdować się niekomfortowych sytuacjach, dokładnie tak samo jak otrzymywać prezentów. Może dlatego, że nikt nigdy nie nauczył mnie ich dostawać.

Z tego, co pamiętam z zatartych już wspomnień z dzieciństwa, moja mama nie miała tyle pieniędzy, aby cokolwiek mi kupować, a w domu dziecka, zanim jako jedno z ostatnich dzieci dobiegałam do choinki, ktoś już dawno przywłaszczał sobie mój podarunek.

Nie umiałam się cieszyć z prezentów.

Zazwyczaj podczas ich otrzymywania czułam osaczający mnie wzrok innych, co zawsze wprawiało mnie w zdenerwowanie, czy aby na pewno to, co dostałam, należy do mnie. Drugą kwestią był fakt, że nigdy nie potrafiłam tak dobrze ukrywać zawodu, jak kłamać.

Dlatego jeżeli jakikolwiek podarunek mi się nie podobał, na mojej twarzy malowała się bolesna prawda, co z kolei nie zawsze podobało się osobom, które wydawały pieniądze i marnowały czas, aby sprawić mi przyjemność.

Wolałam w ogóle nic nie dostawać. Zarówno dla swojego komfortu, jak i dla dobra innych.

– Dlatego ten potraktujemy jako rzecz na przechowanie, z której oczywiście możesz korzystać do czasu, aż moja mała dziewczynka przyjdzie na świat i zrzucę te dodatkowe kilogramy. Może tak być? – Siostra wyciąga w moją stronę paczkę, po którą w dalszym ciągu nie sięgam. – Malia, to nie szczeniaczek. Nie ugryzie cię.

Przewracam oczami.

– Otwórz teraz. – Podekscytowana gestykuluje dłońmi, gdy stawiam przed sobą prezent. – Chcę zobaczyć twoją reakcję.

Właśnie tego najbardziej się obawiałam. Niezauważalnie wypuszczam powietrze i zaczynam rozwiązywać szeroką kokardę.

Co, jeśli mi się nie spodoba? Jak powinnam zareagować? Czy zwykle „dziękuję” wystarczy? A może się tylko uśmiechnę? Nie! Żadnych uśmiechów! W takich sytuacjach nie umiem panować nad kącikami ust i zamiast miłego podziękowania mogłoby wyjść z tego grymas, a to raczej nie podniosłoby Courtney na duchu.

Och. Nie cierpię świąt.

Unoszę pokrywkę pudełka, a następnie rozkładam na boki delikatny papier ozdobny, pod którym znajduje się starannie złożona błyszcząca, czerwona sukienka z dekoltem wyciętym w kształt serca oraz długimi rękawami, wykonanymi z delikatnego, przeźroczystego materiału.

– Chyba nie widziałam u ciebie podobnej reakcji na żaden z moich wcześniejszych prezentów.

Mam nadzieję, że w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

– Pewnie znajdziesz dużo okazji, aby włożyć ją w Grecji, a później na sylwestra.

Zaciskam usta, na powrót układając sukienkę w pudełku. Zamykam wieczko.

– Dziękuję. – Staram się panować nad drżącymi dłońmi i oszalałą pracą mojego serca, kiedy odkładałam prezent na wolne krzesło obok siebie. – Ale biorę ją tylko na przechowanie.

Dziewczyna przytakuje posłusznie głową.

– Ja też coś dla ciebie mam – przyznaję niepewnie, sięgając do torebki.

Courtney o mało co nie unosi się ponad ziemię z podekscytowania, jeszcze większego niż wtedy, kiedy to mnie wręczała prezent.

– Widziałam, jak im się przyglądasz, i pomyślałam... – Czuję, jak moja krtań zwęża się na tyle, że pojedyncze słowa tracą sens. – Znaczy mam nadzieję, że tak będzie... bo myślę, że ... – Szybko porzucam pomysł ratowania niewielkiego podarunku zbędnymi zdaniem, tylko od razu, w ciszy, wyciągam przed siebie parę ręcznie dzierganych skarpet na kominek, które siostra oglądała u jednego ze sprzedawców na jarmarku.

– No nie! – mówi głośno, a jej usta formują się w szeroki uśmiech. – Kiedy je kupiłaś? – Dotyka faktury skarpet i przygląda im się ze szczerą radością. – Malia, to jest najlepszy świąteczny prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

Do dzisiaj nie wiedziałam, że ona też potrafi dobrze kłamać.

– Są idealne!

Nim na dobre rozplywa się w zachwycie nad parą zwykłych skarpet, wyciągam w jej stronę, na otwartej dłoni, jeszcze jedną, mniejszą i zdecydowanie staranniej wykonaną.

– A ta będzie dla waszej córeczki.

Nagle cały entuzjazm, którym jeszcze kilka sekund temu emanowała Courtney, znika gdzieś pomiędzy zaszklonymi oczami a pociągnięciami nosa.

– Przepraszam – mówi szybko, sięgając po jedną z serwetek. – To hormony i po prostu się wzruszyłam. – Dziewczyna z trudem podnosi się ze swojego miejsca, żeby następnie zamknąć moje ciało w ciasnym uścisku, który jak dotąd jedynie w jej wykonaniu jestem w stanie przyjąć. – Wesółych świąt, siostrzyczko.

– Tak – odpowiadam cicho. – Wesółych.



Zatrząskuję za sobą drzwi mieszkania, wypuszczając przy tym ciężko powietrze, które z całych sił zatrzymywałam w płucach przez cały dzień.

Zrucam z nóg botki na wysokim obcasie i wolnym krokiem ruszam w ciemnościach w stronę kuchni, aby włączyć światło, które po chwili zalewa surowe wnętrza, utrzymane w jasnych tonacjach.

Odwieszam płaszcz i wiążę włosy na czubku głowy, gdy w telewizji pojawia się scena rozpoczynająca dobrze mi znany film. Wkładam do mikrofalówki porcję zamrożonego makaronu, przebieram się w dresowy komplet i zmywam makijaż.

Wracam ponownie do salonu, kiedy młoda Julia Roberts w roli Vivian spotyka po raz pierwszy Edwarda Lewisa. Pozwalam sobie na niewielką lampkę wina i z talerzem parującego posiłku otwieram laptopa, mając nadzieję, że obiecane Timothy'emu dwie godziny pracy obowiązują również dzisiaj.

Poprawiam na nosie okulary, które założyłam zamiast soczewek, i ponownie próbuję skupić się na projekcie marketin-

gowym, nad którym pracę powinniśmy zacząć najpóźniej pod koniec lutego.

Już w listopadzie wpadłam na pomysł będący zupełnym przeciwieństwem dotychczasowej strategii Share The Joy. Widzę w nim potencjał i szeroki wachlarz możliwości. Jedyne, czego mi brakuje, to czas, który przeznaczyłabym na dopracowanie projektu pod wszelkimi względami, które mogą być kluczowe w nadchodzącym roku.

I właśnie to będzie moja motywacja, aby przeżyć tych kilka dni urlopu w zimowej aurze.

Dopiero po dziesięciu minutach, kiedy wciąż od nowa czytam pierwszą stronę strategii, orientuję się, że coś jest nie tak. Sięgam po pilota i wyłączam film, który najwidoczniej odwraca moją uwagę od tekstu, po czym upijając kolejny łyk wina, z powrotem zawieszam dłonie nad klawiaturą. Nie mija jednak nawet minuta, gdy ponownie ulegam rozproszeniu.

Marszczę odruchowo brwi, podnosząc wzrok ponad ekran laptopa, na telewizor, który wciąż pozostaje wyłączony, a otaczająca mnie muzyka zaczyna powoli działać mi na nerwy.

Muzyka?

Zastygam w bezruchu, wsłuchując się w zduszone rytmy melodii, która na pewno nie dochodzi z wnętrza mojego mieszkania.

Zamykam powieki, opadając na oparcie krzesła i czując, jak ostatnie siły, które chciałam spożytkować na pracę, zaczynają mnie opuszczać. Ściągnawszy okulary, przesuwam dłońmi wzdłuż twarzy, próbując tym samym przekonać samą siebie, aby tak szybko się dzisiaj nie poddawać.

Dam radę.

Poprawiam się na krześle i zakładam okulary.

Dam radę.

Ponownie wczytuję się we własne notatki.

Dam radę.

I mimowolnie zaciskam mocniej szczękę, gdy sąsiad mieszkający piętro niżej postanawia pogłośnić muzykę, która przypomina mi melodię *Winter Wonderland*. Dźwięki te sprawiają, że odruchowo przytrzymuję się brzegu stołu, próbując odnaleźć wewnętrzny spokój.

Spoglądam na zegar. Jest dopiero dziewiąta. Nie ma ciszy nocnej. Nie mogę tam iść, ale jeśli tego nie zrobię, nie skupię się na tyle, na ile powinnam.

– *Sleigh bells ring, are you listening...*

To żarty, prawda?

– *...in the lane, snow is glistening**.

Zanim jestem w stanie się powstrzymać, zarzucam na ramiona gruby sweter i wychodzę na korytarz, kiedy głos mężczyzny z dołu staje się jeszcze bardziej irytujący.

Na klatce schodowej dla odmiany panuje głucha cisza i przesywający każdy centymetr ciała chłód.

Czy to możliwe, że się przesłyszałam?

Zbiegam po stopniach i zatrzymuję się pod drzwiami mieszkania znajdującego się tuż pod moim. Jednak nim naciskam na dzwonek, dla pewności nachylam się w ich stronę, nasłuchując dźwięków z wewnątrz.

– *To sing a love song. While we stroll along...*

Prostuję się i uderzam delikatnie w drewniane drzwi.

– *Walking in a winter wonderland...*

Ale muzyka w żadnym stopniu nie milknie, dlatego zaciskam dłoń w pięść i zaczynam intensywniej dobijać się do sąsiada.

Po kilku sekundach, kiedy odsuwam z twarzy pojedyncze pasma włosów, melodia cichnie, tak samo jak śpiew, który znika

* Richard Himber – *Winter Wonderland* (1934).

gdzieś we wnętrzu mieszkania, zmieniając się w serię kroków zbliżających się do drzwi.

Unoszę wysoko brodę, chcąc sprawić wrażenie pewnej siebie kobiety, której zakłóca się ciszę przy pracy, jednak kiedy drzwi szeroko otwierają się tuż przed moją twarzą, czuję, jakbym po raz kolejny dzisiejszego dnia dostawała od losu prztyczka w nos.

– O Boże. – Słowa same wypływają z moich ust, bo w drzwiach zamiast niskiego mężczyzny z okazałym brzuszkiem, którego spodziewałam się tutaj zastać, stoi ten sam wysoki szatyn, którego spotkałam na jarmarku i w restauracji. W międzyczasie porzucił swoją idiotyczną, świąteczną koszulę na rzecz czarnego T-shirta, który ubrudzony mąką i ciastem nie wygląda najkorzystniej.

– Co za spotkanie. – Uśmiecha się szeroko. – Co sprowadza do mnie panią Nienawidzę Świąt?

– Zabawne. – Odpowiadam ironicznym uśmiechem, krzyżując dłonie na piersiach. – Mogłabym cię prosić o ściszenie muzyki i niepopisywanie się swoim operowym głosem? Niektórzy w tym budynku próbują skupić się na pracy.

Mężczyzna marszczy brwi, spoglądając przez ramię do środka mieszkania.

– Pracujesz o dziewiątej wieczorem? W piątek? – Unosi jedną z brwi, jakby było to coś niespotykanego.

– Tak. Co w tym dziwnego?

– Nic, po prostu musisz chyba bardzo lubić swoją pracę, skoro tak się poświęcasz. – Wzrusza ramionami, wkładając dłonie do kieszeni spodni.

– Nie narzekam, ale też nie ukrywam, że sprawniej by mi ona szła, gdybym miała odpowiednie warunki do skupienia. – Mówiąc to, wchodzę już na kilka pierwszych schodów, kierując się do domu.

Jednak w ciszy korytarza ponownie rozbrzmiewa jego głos:
– Naprawdę nie lubisz świąt? – dopytuje, opierając się o framugę drzwi.

– Nie każdy musi lubić to, co wszyscy – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Wow – wydusza z siebie, jakby był zaskoczony moją odpowiedzią. – Ktoś musiał niezwykle się postarać, żebyś z taką wrogością reagowała na ten czas. Przecież święta to... – Przerывa nagle, kiedy spogląda na wyraz mojej twarzy. – To znaczy...

Odwracam się szybko i kontynuuję drogę na górę.

– To nie tak miało zabrzmieć, chodziło mi bardziej o to, że... – ciągnie, idąc za mną po schodach.

– Po prostu wyłącz muzykę – mówię bez krzty uprzejmości.

Chwilę później zatrzasnęłam głośno drzwi własnych czterech ścian – tuż przed twarzą mężczyzny. Zamykam powieki, czując, jak zmęczenie całym dniem dopada mnie szybciej, niż zakładałam.

– Brawo, Cameron. Naprawdę świetnie ci poszło – słyszę, jak sąsiad mówi do siebie pod nosem, po czym rusza z powrotem na dolne piętro.

Ktoś musiał niezwykle się postarać, żebyś z taką wrogością reagowała na ten czas.

Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo.